

Niedziela, 4 czerwca 1939 roku

W niedzielę rano pasażerowie „St. Louis” z ulgą przekonali się, że wciąż znajdują się w pobliżu wybrzeży Ameryki, a nawet bliżej Miami niż noc wcześniej. Teraz widzieli miasto nawet bez lornetek.

Widok ten działał kojąco, ponieważ uchodźcy wiedzieli, gdzie są. Nie dowierzali miniaturowej chorągiewce HAPAG znaczącej ich położenie na mapie wystawionej przed biurem ochmistrza. Większość pasażerów sądziła, że Mueller umieścił chorągiewkę w takim miejscu tylko po to, żeby ich zadowolić.

Dla pasażerów jednak większe znaczenie od położenia statku miał kierunek, w którym płynęli. Tylko jeden pasażer na pokładzie fgang Feilchenfeld. Na dziecięcym party zorganizowanym tuż przed przypłynięciem do Hawany chłopiec wygrał kompas i po opuszczeniu kubańskiego portu znalazł się w centrum zainteresowania. Wolfgang siedział beztrako na rufie transatlantyku na pokładzie B i grał w szachy z przyjaciелеm Hansem Fischerem – tak jak to obaj chłopcy zwykli często robić od chwili wyruszenia „St. Louis” z Hawany. Potem w niedzielny poranek mówił zainteresowanym, że zmierzają teraz w kierunku południowym, południowozachodnim w kierunku Kuby.

– Tak blisko, a zarazem tak daleko – rzekła do męża Rosemarie Bergmann, spoglądając w kierunku Miami. Ta uwaga skłoniła Ottona do ponownego podkreślenia, że jego zdaniem komitet pasażerów to „forum uprzejmych rozmów, a nie działania”. Chciał zaproponować swoje usługi, lecz Rosemarie powstrzymała go przed tym. Zamiast tego zwróciła jego uwagę na dalekomorskie kutry rybackie z Florydy, które co pewien czas zbliżały się do „St. Louis”. Zauważyła, że wiele osób na ich pokładach robiło zdjęcia pasażerom transatlantyku i zastaławiła się, czy będą je potem sprzedawać gazetom.

Przed południem dużo większa jednostka dołączyła do flotyli łodzi rybackich. Był to kuter straży przybrzeżnej nr 244 z bazy morskiej w Forcie Lauderdale. Większość pasażerów wierzyła, że przypłynął, „żeby nas chronić i wylawiać każdego, kto wyskoczyłby za burtę”.

Nieliczni uważali, że kuter zjawił się po to, aby bronić liniowcowi dostępu do amerykańskich wód terytorialnych.

Widok zbliżającej się amerykańskiej jednostki przeraził Ottona Schiendicka. Pobiegł do radiostacji okrętowej, gdzie polecił operatorowi dostroić się do częstotliwości radiowej kutra straży przybrzeżnej. Radiooficer miał już wypełnić polecenie Schiendicka, kiedy zjawił się pierwszy oficer Ostermeyer i rozkazał stewardowi wyjść z pomieszczenia radiostacji.

Schiendick pomknął z powrotem na pokład i zobaczył, że kuter podpływa w pobliże statku, co jeszcze pogłębiło jego zdenerwowanie. Zastanawiał się, czy to akcja amerykańskich służb wywiadowczych mająca na celu aresztowane szpiega. Przez chwilę Schiendick rozważał nawet zastosowanie typowej praktyki Abwehry i zniszczenie tajnych materiałów, gdyby strażnicy zdecydowali się wejść na pokład. Najlepszym sposobem na usunięcie dokumentów byłoby wyrzucenie ich do wody.

Jakby wyprzedzając myśli stewarda, straż przybrzeżna w swoim kuterze opłynęła „St. Louis” dookoła, a Otto Schiendick dostrzegł funkcjonariuszy obserwujących pokłady liniowca przez lornetki.

Po chwili jeden z nich zamachał ręką i niebawem niemal wszyscy podróżni na transatlantyku w odpowiedzi wymachiwali do strażników. Schiendicka opuściło przerażenie. Agent Abwehry zdobył się nawet na nerwowy uśmiech i wraz z innymi ludźmi niepewnie uniósł rękę w geście pozdrowienia.

W samo południe w sobotę Lawrence Berenson i Antonio Bustamente weszli do przestronnego, wygodnie umeblowanego gabinetu, który prezydent Federico Brú wykorzystywał podczas weekendów spędzanych w swojej pałacowej rezydencji wiejskiej Parraga. Miało to być spotkanie najwyższej wagi dla pasażerów „St. Louis”.

Prezydent wskazał gościom miejsca siedzące, po czym od razu spytał, czy Berenson jest w stanie spełnić jego żądania.

Prawnik stwierdził, że tak. Tak jak sobie tego życzył prezydent, depozyt będzie obowiązywał przez dziewięć lat, a nie przez sześć. Mężczyźni powyżej 21. roku życia opuszczą wyspę w pierwszej kolej-

ności. Berenson uważał, że „prawdopodobnie uda się zwiększyć z 50 tysięcy do 100 tysięcy dolarów”.

Istnieją różne relacje dotyczące wówczas wywiązały.

Zdaniem Brú, przypomniał on Berensonowi, że 150 tysięcy dolarów miało stanowić gwarancję dla 150 tysięcy dolarów na Isla de Pinos czy gdziekolwiek indziej, a nie na normalnej opłacie w wysokości 500 dolarów w gotówce.

Miała ona zostać zdeponowana w kubańskim skarbcu i powróciła w rękę w razie, gdyby imigrant opuścił wyspę. Co więcej, Brú twierdził, że na spotkaniu domagał się, by całkowicie spełniono jego żądania w ciągu 48 godzin lub sprawa zostanie zamknięta. Wreszcie, jak oświadczył później Brú, Berenson przystał na wszystkie jego żądania.

We wspomnieniach Berensona rozmowy przebiegały całkiem inaczej. Prawnik twierdził potem, że prezydent nie wspominał o żadnym nieprzekraczalnym terminie, a jedynie powiedział, że „St. Louis” może zostać sprowadzony z powrotem w ciągu 48 godzin”. Odnosnie pieniędzy Berenson utrzymywał później, że kwestię pozostawiono „otwartą do negocjacji po rozmowie z moimi zwierzchnikami w Nowym Jorku”.

Wiadomo na pewno, że Berenson był głęboko wstrząśnięty żądaniami prezydenta, lecz mimo to Antonio Bustamente radził mu je zaakceptować. Jasne jest też, że Berenson nie miał najmniejszych wątpliwości, że prezydent Federico Brú chciał otrzymać gotówką po 500 dolarów od każdego uchodźcy – prawie pół miliona dolarów – plus depozyt w wysokości 150 tysięcy dolarów.

Po spotkaniu Berenson wrócił do swojego hotelu, żeby zwrócić się o radę do Połączonego Komitetu Rozdzielczego w Nowym Jorku.

Joseph Hyman, dyrektor wykonawczy Połączonego Komitetu Rozdzielczego w Nowym Jorku, nie zareagował tak ostro na nowe żądania Brú, jak się tego obawiał Lawrence Berenson. Dyrektor oświadczył, że jest „gotowy zdeponować do 250 tysięcy dolarów pod warunkiem wprowadzenia odpowiednich zabezpieczeń, ponadto zobowiąże się do zapłaty reszty kwoty”. Przesłałby gotówkę na Kubę „tylko w ostatecz-

ności” i zażądał od prawnika, żeby „o ile to możliwe, wykluczył dzieci z kwoty depozytu”.

z kwoty depozytu.

Berenson był zadowolony. Miał teraz możliwość zaferowania prezydentowi prawdziwych pieniędzy, jak również wcześniej wymagającego depozytu. Następnie jakiś inny państwo zaferowało ażyl uchodźcom. Unikając wzmianki o Stanach Zjednoczonych, dyrektor odparł, że choć podejmowano wiele prób, jak dotąd Wenezuela, Ekwador, Chile, Kolumbia, Paragwaj i Argentyna nie zgodziły się na to. Uważał jednak, że nie warto na poważnie brać pod uwagę Dominikany. „Wszystkie nasze wysiłki powinniśmy skoncentrować na Kuby”.

W niedzielny wieczór, o godzinie 21.30, Berenson ponownie spotkał się z amerykańskim ambasadorem Butlerem Wrightem. Spotkanie odbyło się w domu konsula generalnego Coerta du Bois. Berenson powiedział im, że Brú żąda „natychmiastowego depozytu, prawie 500 tysięcy dolarów w kubańskim skarbcu” – znacznie więcej niż maksimum oferowane przez Hymana. Berenson podkreślił też, że być może uda się tego uniknąć, jeśli amerykańscy dyplomaci zwrócą się osobiście do Fulgencia Batisty z prośbą, by szef armii poradził prezydentowi wrzec

Dyplomaci nie byli przygotowani na taką propozycję Berensona. Zamiast przystać na nią du Bois bezzadnie oznajmił prawnikowi, że »ten się wymaganego depozytu gotówkowego.

O północy, gdy dyskusja się zakończyła, ambasador powiedział Berensonowi, że Republika Dominiki stanowiła jego „asa w rękawie”.

Wrócił do hotelu Sevilla-Biltmore i zaczął opracowywać nową ofertę dla Brú.

Nie było to łatwe zadanie.

Nie było to łatwe zadanie. Berensonowi brakowało doradcę, któremu mógłby zaufać. Otrzymal sprzeczną radę od, między innymi, Roberta Hoffmana, majora Garcíi, pułkownika Beníteza, Lópeza Castro, Garcíi Montesa, Antonia Bustamanteego oraz dyplomatów amerykańskich. Baista najwyraźniej

sugerował, że rozwiązanie jest możliwe, ale nie dał żadnych wskazówek, jak ten cel osiągnąć.

Berenson rozpoczął opracowywanie poprawionej oferty, kierując się jedynie instrukcjami z Nowego Jorku.

Prawnik błędnie szacował, że na „St. Louis” znajdowało się 933 pasażerów – 26 więcej niż w rzeczywistości. „Po odliczeniu 162 dzieci i 25 turystów, którzy zmierzali do Stanów Zjednoczonych”, wyliczył, że przy 500 dolarach na głowę uzyska się sumę 373 tysiące dolarów.

Przyjmując takie same zasady przy liczeniu uchodźców na pokładach statków „Orduna” i „Flandre” wyszło mu dodatkowe 70 tysięcy dolarów, co dało mu w sumie 443 tysiące dolarów.

Następnie Berenson opisał, skąd należy wziąć 443 tysiące dolarów. Mając na uwadze to, że Hyman podkreślił, iż zdola zebrać góra 250 tys. dolarów, Berenson napisał:

Z Nowego Jorku	250 tysięcy
Od Komitetu Pomocy w Hawanie	50 tysięcy
Od pasażerów	40 tysięcy
W sumie w gotówce	290 tysięcy
Różnica	153 tysiące
W sumie	443 tysiące dolarów

Tak jak w przypadku wyliczeń dobrego księgowego wszystko w nim dawało się zgrabnie bilansować. Berensonowi wróciła typowa dla niego pewność siebie. Prawnik pamiętał słowa Hymana, że prześle go "tętkę „tylko w ostateczności”, dodał więc drobny ustęp: wszelkie nadprogramowe środki finansowe dostarczone przez krewnych pasażerów będą wykorzystane do zredukowania kwoty, która miała zostać przesłana z Nowego Jorku.

Rankiem następnego dnia, w poniedziałek 5 czerwca, Berenson przesłania z nowego jolana. Rankiem następnego dnia, w poniedziałek 5 czerwca, Berenson niemal bezsennej nocy dostarczył nową ofertę Antoniowi Bustamemu, który ją przetłumaczył, a następnie punktualnie o 14.00 wręczył majorowi Bernardowi Garcii, by ten przekazał je Brú.

Godzinę później w Waszyngtonie odbyła się rozmowa telefoniczna pomiędzy Henrym Morgenthau'em juniorem, sekretarzem skarbu, i Cordellem Hullem, sekretarzem stanu – dwoma najbardziej wpływowymi członkami rządu prezydenta Roosevelta.

Sześćdziesięcioosmioletni Hull uważał się za eksperta w sprawach kubańskich, ponieważ jako młodzieniec zebrał pułk ochotników z Tennessee, z którym walczył w Republice. Jednak milioner Morgenthau nie sądził, żeby to akurat doświadczenie przydało się w obecnym kryzysie. Postrzegając Departament Stanu pod pieczęcią Hulla jako „po prostu nieodpowiednio wyposażony pod względem psychologicznym i administracyjnym, by uporać się z problemem uchodźców”. Niemniej jednak wiedział, że Departament Stanu jest zaangażowany w sprawę, więc o godzinie 15.17 w poniedziałek zadzwonił do Hulla.

Charakter nieco niejasnej konwersacji, która się wywiązała, a także relacji pomiędzy oboma sekretarzami, oddaje poniższa transkrypcja rozmowy telefonicznej:

M: Witam pana, panie Cordell.

H: Słucham pana.

M: Jak pan się miewa?

H: Dziękuję, dobrze.

M: Panie Cordell, moi dobrzy znajomi zadzwonili do mnie w sprawie tej strasznej tragedii dziewięciuset uchodźców.

H: Tak.

M: Były tam jakieś straszne przepychanki.

H: Tak.

M: Gwarancje pieniężne i tak dalej.

H: Tak.

M: Rozumie pan?

H: Tak. Cóż, rozmawiałem z prezydentem jakieś dwadzieścia minut temu...

M: Tak?

H: A dziś rano rozmawiałem z pewnym człowiekiem o nazwisku James Carson, który przebywa w Hawanie.

M: Tak?

H: Zwrócił się z pytaniem, czy oni mogliby popłynąć na wyspy, t na nasze wyspy... Jak one się do diabła nazywają...

M: Wyspy Dziewicze?

H: Tak. Podchwyciłem to, ale od razu pomyślałem, że nie mogliby chyba że mieliby gdzieś jakiś określony własny dom, z którego przyjechali i do którego mogliby wrócić.

M: Rozumiem.

H: Sądzę, że organizacje żydowskie... wypracują coś, jeśli uda się zapłacić finanse... Mają na to sporą szansę, to właśnie próbują poznać wiedzieć.

M: Rozumiem.

H: Zrobimy, co w naszej mocy, rozumiem pan, ale potrzeba człowieka, który wie, jak klócić się z nimi o finanse...

M: Rozumiem.

H: To sprawa przede wszystkim pomiędzy kubańskim rządem i tymi ludźmi.

M: Rozumiem.

H: A nie tego rządu.

M: Rozumiem. Cóż, czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby jutro znów zadzwonił?

H: Skądże. Staram się za tym wszystkim nadążyć.

M: I na pewno mogę jeszcze raz zadzwonić do pana?

H: Oczywiście, o dowolnej porze.

M: Dziękuję panu.

H: Tak.

M: Dziękuję.

Rozmowa z pewnością nie była zbyt odkrywczą dla Morgenthau. Mimo to dostarczyła więcej informacji niż większość dochodzeń podejmowanych przez rząd amerykański.

Prezydent Roosevelt nie odpowiedział na żaden z dwóch telegramów wysłanych do niego przez komitet pasażerów z „St. Louis”. Później zostało telegramy zostały przekazane przez osobistego sekretarza R.

osevelta do Departamentu Stanu. Pracownicy tego departamentu zostawili je bez odpowiedzi przez ponad tydzień, a wreszcie oświadczyli tylko, że to „sprawa dla rządu kubańskiego”.

Prasa amerykańska próbowała wzbudzić sympatię opinii publicznej za sprawą artykułów, takich jak tekst w filadelfijskiej gazecie „Record”:

„Trzeba przyznać, że problem uchodźców jest złożony i trudny, w cywilizowanym świecie musi jednak istnieć jakieś lepsze rozwiązanie niż wysyłanie policyjnych łodzi, by wylapywały desperatów, którzy wyskoczą do wody”.

Wiele gazet w ten poniedziałek, 5 czerwca, zamieszczało artykuły o podobnej wymowie, jednak ani „Record”, ani żadna inna amerykańska gazeta nie opowiadała się za tym, że pasażerowie „St. Louis” niewłocznie uzyskali prawo nieograniczonego wstępu do Stanów Zjednoczonych.

Natomiast oficjalne stanowisko jasno wyraził inspektor wydziału ds. imigracji w Miami Walter Thomas: „St. Louis” nie otrzyma zgody na cumowanie tutaj, ani w żadnym innym porcie Stanów Zjednoczonych”.

W poniedziałkowe popołudnie o 15.30 prezydent Federico Brú powtórzył hawańskiej prasie swoje warunki osiedlenia uchodźców. Prezydent oświadczył, że jest gotowy na powrót uchodźców i zakwaterowanie ich na Isla de Pinos, o ile otrzyma akceptowalne gwarancje, że „nie będą oni wymagać opieki państwa, a ich wyżywienie i zakwaterowanie na Kubie zostanie opłacone”. Brú dodał, że oferta obowiązuje do południa następnego, wtorku 6 czerwca, i na koniec stwierdził:

– Głęboko odczuwam rozpaczliwą sytuację uchodźców, lecz stanowisko, które zajmuję, wiąże się z bolesnymi obowiązkami, które obciążają mnie do odrzucania porywów serca i kierowania się surowymi wymogami publicznej służby”.

Lawrence Berenson, pytany przez dziennikarzy, opisał wystąpienie Brú jako „natchnioną deklarację humanitarnego, wielkiego męża stanu”.

Pół godziny po prezydenckim oświadczeniu major Bernardo García dostarczył Brú poprawioną ofertę Berensona.

W to samo poniedziałkowe popołudnie Gustav Schröder wraz z pierwszym oficerem Ostermeyerem zamknęli się w radiostacji okrę-

towej. Kilka tygodni stresu zbliżyło obu mężczyzn i teraz obaj żywili głębokie przekonanie, że linia HAPAG hamuje i komplikuje sprawy. Ich gniew wzbudziły telegramy z Hamburga, Hawany i Nowego Jorku o wzajemnie sprzecznej treści i zdaniem kapitana zakrawające na nieodpowiedzialne kręctwo.

Claus-Gottfried Holthusen w swojej depeszy stwierdzał, że firma przeszukuje zachodnią półkulę w celu znalezienia odpowiedniego portu i przestrzegał Schrödera, by był gotów w krótkim czasie po zgłoszyć „w dowolne miejsce”. Luis Clasing przesłał wiadomość, że plany wysadzenia uchodźców w Republice Dominikany „posuną się naprzód tylko wówczas, gdy wszyscy będą mogli zejść na ląd”. Z Nowego Jorku nadeszła informacja, że tamtejsze biuro HAPAG jest gotowe zająć się odprawą pasażerów, „jeśli wylądują”.

Gustav Schröder odsunął te depesze na bok, grząc, że ten wpływ zainteresowania firmy okazuje się jeszcze mniej pomocny niż okresowe milczenie oficjalnej linii żeglugowej. Następnie skupił się na sterście telegramów, które nadeszły z redakcji prasowych, radiowych i filmowych. Telegram przesłany przez agencję informacyjną Associated Press głosił: „Uprzejmie prosimy o informowanie nas o waszych zamiarach ze względu na ogólnościowe zainteresowanie waszą sytuacją”.

Ostatnie słowa powstrzymały pierwszy odruch Schrödera, by zignorować wszystkie próby mediów o informację. Gdyby udało się pobudzić opinię publiczną, realnie zwiększyłoby to szanse przyjęcia uchodźców na Kubie. Taki rozgłos mógł złagodzić nieustającą falę oszczerstw rozgłaszanych dzień w dzień przez nazistowskie serwisy informacyjne, których ton stał się jeszcze bardziej złośliwy od wypłygnięcia statku z Hawany.

Gustav Schröder odpowiedział na telegram Associated Press, podając aktualne położenie statku, prędkość i kurs. W swojej wiadomości dodał też:

„Moim zamiarem jest uczynić wszystko, co tylko możliwe, żeby złagodzić rosnące zaniepokojenie moich pasażerów, których jedynym życzeniem jest znaleźć nowy dom”.

Środa, 21 czerwca 1939 roku

W Southampton w środę o północy – w najkrótszą w roku noc przesilenia letniego – pasażerów powitało spektakularne widowisko. Port ra-
dośnie przyozdobiono, syreny wyły, statki pożarnicze wystrzeliwały
strumienie wody ku niebu. Dopiero po wylądowaniu uchodźcy dowie-
dzieli się, że wszystko to stanowiło próbę generalną przed powitaniem
króla Jerzego VI i królowej Elżbiety, zaplanowanym na następny dzień.
Para królewska również powracała z podróży do Nowego Świata.

Gdy pasażerowie schodzili na brzeg, przynajmniej jeden z nich,
Fritz Gotthelf, berlińczyk, który należał do patrolu przeciwsmobój-
czego, „przykleknął i ucałował ziemię”. O godzinie 14.00 uchodźcy
wyruszyli z Southampton pociągiem i za kwadrans 16.00 dotarli na
londyńską stację Waterloo, zatrzymawszy się przy peronie 13. Tam
około 60 samotnych, pełnosprawnych mężczyzn natychmiast skiero-
wano do obozu Kitchener Camp w Richborough, który stał się tym-
czasowym domem dla prawie 5 tysięcy mężczyzn oczekujących na
emigrację do Stanów Zjednoczonych, Palestyny czy Ameryki Połu-
dniowej. Pozostałych pasażerów rozmieszczono w małych hotelach
i domach prywatnych.

Dokładnie po 40 dniach i nocach błakania się po morzach i oceanach,
ostalni pasażerowie z „St. Louis” znaleźli swoją Ziemię Obiecana.

■ EPILOG

Dla wielu uchodźców na „St. Louis” ich ocalenie okazało się po-
czątkiem końca.

Najwięcej szczęścia miało 288 uciekinierów, którzy udali się do An-
glii, choć początkowo z pewnością nie mogli tego wiedzieć. Wkrótce
po wybuchu wojny na początku września 1939 roku uznano ich, jako
obywateli Niemiec, za wrogów i wszystkich mężczyzn internowano.

W obozie Kitchener Camp w Richborough ustanowiono Trybunał
ds. Cudzoziemców w celu wybadania internowanych. Na 3,5 tysiąca
przebywających tam mężczyzn tylko w jednym przypadku podano
w wątpliwość lojalność osoby internowanej wobec Wielkiej Brytanii.
W obozie tym sformowano i wyszkoło pierwsze Cudzoziemskie
Kompanie Pionierskie – początkowo zorganizowane jako wojskowa
służba pomocnicza, niemająca brać udziału w walce. Zgłosiła się do
nich ponad połowa uchodźców zamkniętych w obozie, choć wiedzie-
li, że w razie pojmania przez Niemców mogą być potraktowani jak
zdrajcy i rozstrzelani.

W 1940 roku pierwsza Cudzoziemska Kompania Pionierska wyru-
szyła do Francji pod dowództwem majora F.J. Bristera, członka,
który podczas postępu „St. Louis” w porcie w Antwerpii reprezen-
tował władze brytyjskie. Teraz miał pod swoją komendą tych pasażerów
transatlantyku, których podczas przydzielania uchodźców do różnych
krajów sam wytypował do skierowania do Wielkiej Brytanii. W trakcie
ewakuacji Dunkierki członkowie kompanii otrzymali broń i według
raportów bojowych walczyli bardzo dzielnie. Później zostali rozpro-
szeni wskutek przydziału do różnych pułków regularnej armii brytyj-
skiej. Niektórzy trafili nawet do specjalnego oddziału komandosów
złożonego wyłącznie z uchodźców, głównie Żydów niemieckich, któ-
rych niegasnąca nienawiść do nazistów czyniła wyjątkowo groźnymi
żołnierzami. Połowa z nich poległa.

Elise Loewe i jej dwoje dzieci znaleźli się w gronie szczęśliwych pa-
sażerów przydzielonych do Anglii, kraju, który Max Loewe uważał za

położony zbyt blisko Niemiec, kiedy podejmował decyzję o wywiezieniu rodziny na Kubę. W Anglii Elise nie miała żadnego pojęcia o losie jej męża przebywającego w Hawanie po niedoszłej próbie samobójczej, ale w 1940 roku Max został wypuszczony z kubańskiego szpitala i zdołał dostać się do Londynu i znowu połączyć ze swoją rodziną. Tam w 1942 roku zmarł w wieku 51 lat na chorobę serca, prawdopodobnie będącą skutkiem prób samobójczych podejmowanych przez niego w Hawanie. W 1947 roku Elise Loewe zabrała dzieci do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkali na stałe.

Przewodniczący komitetu pasażerów Josef Joseph oraz jego żona Lilli i córeczka Liesl po wylądowaniu w Wielkiej Brytanii zostali gośćmi w posiadłości rodziny milionerów Rowentree w hrabstwie York. Choć zaferowano Josephom pobyt w tej rezydencji na czas wojny, Josef pragnął wyemigrować do Stanów Zjednoczonych i po trzech miesiącach zabrał rodzinę do Londynu. W maju 1940 roku, rok po zakrętowaniu na „St. Louis”, Joseph został internowany na Wyspie Man jako cudzoziemiec z wrogiego państwa. We wrześniu rodzina do stała zgodę na zarezerwowanie rejsu do Nowego Jorku, a Lilli i Liesl opuściły Londyn w czasie jednego z nalotów bombowych. Wyjechały z miasta w pełnym uciekinierów zaciemnionym pociągu do Glasgow, gdzie wszystkie rodziny miały spotkać się z mężczyznami podróżującymi innym pociągiem z miejsca internowania.

Kiedy przyjechali do Glasgow, również to miasto dotknął ciężki nalot bombowy. Po długim opóźnieniu spowodowanym bombardowaniem zdenerwowane rodziny w końcu się połączyły i przyłączono do nich dodatkowo 350 dzieci, które również miały zostać ewakuowane do Ameryki. Zatłoczony, nieuzbrojony statek pozbawiony konwoju przez dwa dni był śledzony przez U-boat, ale nie został storpedowany i bezpiecznie dotarł do celu.

Josef Joseph zmarł po latach w Ameryce. Lilli ponownie wyszła za mąż i zamieszkała na przedmieściach Nowego Jorku, gdzie opiekowała się oryginalnymi ręcznie spisnymi notatkami komitetu pasażerów i transkrypcją korespondencji telegraficznej oraz wieloma innymi dokumentami z „St. Louis”. Lilli Joseph i jej córka Liesl miały szczęście,

ponieważ znalazły się w grupie uchodźców, którzy przeżyli wojnę. Jednak obie siostry Lilli, ich mężowie i dzieci, jej matka i siostry jej męża – wszyscy zginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych.

We Francji po pierwszej nocy w Boulogne większość uchodźców wyruszyła albo do Laval, albo do Le Mans, gdzie dotarli po północy.

Herbert Manasse, najmłodszy członek komitetu pasażerów, nadal poczuwał się do odpowiedzialności za część podróżnych z „St. Louis” i opiekował się grupą prowadzoną do Laval. Kiedy rozpoczęła się okupacja Francji, usiłował uciec wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci do Włoch, ale wszyscy zostali złapani i wysłani do Auschwitz, gdzie zginęli w komorze gazowej.

Rosemarie i Otto Bergmannowie, świeżo poślubiona para, która obiecała zaopiekować się osiemdziesięcioletnią Shalote Hecht przez dwa tygodnie rejsu, ostatecznie zajmowała się staruszką przez prawie dwa lata.

Wkrótce po wybuchu wojny Otto został internowany we Francji jako cudzoziemiec z wrogiego państwa. Rosemarie wraz z jej niedomagającą matką i ciotką Shalote przeniesli się do pokoju hotelowego w Vichy, za który płaciły pieniędzmi nadsyłanymi przez przyjaciół ze Stanów Zjednoczonych. Młoda kobieta opiekowała się „dwoma starszymi paniami” przez 13 miesięcy, aż do czasu, kiedy w październiku 1940 roku Otto wykupił się z obozu internowania, a następnie dotarł do Marsylii i konsulatu amerykańskiego, gdzie zdołał wciągnąć wszystkich bliskich na listę kwoty imigracyjnej. W Bordeaux zdobył też tymczasową wizę do Republiki Dominikany, która pozwalała im czekać w tym kraju na wjazd do Stanów Zjednoczonych.

Ciotka Shalote nie zgodziła się na opuszczenie Francji i wolała zamieszkać ze znajomymi w Nicei, gdzie zmarła trzy miesiące później.

Tymczasem Otto i Rosemarie Bergmannowie wraz z matką Rosemarie rozpoczęli długą podróż ku wolności. Najpierw pojechali na południowe wybrzeże Francji i nieopodal Perpignan wynajęli dwóch francuskich rybaków, aby przeprawili ich nocą łodziami wiosłowymi do Hiszpanii. Uniknęli wykrycia i udali się dalej do Lizbony.

W Lizbonie Emanuel Rosen, człowiek, który pomógł Morrisowi Troperowi na „St. Louis”, ale nie potrafił pomóc Rosemarie w sprawie jej psa Oshey’a, utworzył nowe biuro Amerykańsko-Żydowskiego Połączonego Komitetu Rozdzielczego po zamknięciu jego przedstawicielstwa w Paryżu. Pomiędzy 1940 i 1942 rokiem Manny Rosen przeprowadził kilkuset uchodźców przez Hiszpanię do Portugalii i Afryki Północnej, w tym także pasażerów, których poznał na „St. Louis”.

Bergmannowie i matka Rosemarie dotarli do Portugalii. Tam wsiadli na statek do Nowego Jorku, gdzie zatrzymali się tylko na tak długo, by przesiąść się na inny statek do Santo Domingo. W dominikańskiej stolicy, nazywanej wówczas Ciudad Trujillo, Bergmannowie w końcu odnaleźli swojego pieszaka, Oshey’a, który według Rosemarie był „wychudzony jak kurczak. Zdychał z tęsknoty za nami od rozstania w Hawanie. On również ucierpiał z powodu nazistów”.

Ostatecznie cała grupa dostała się do Stanów Zjednoczonych w 1941 roku, a sześć miesięcy po przyjeździe matka Rosemarie zmarła.

Marianne Bardeleben, dziesięciolatka, która ledwie potrafiła rozpoznać własnego ojca w jednej z licznych łódek w porcie w Hawanie, na dzień przed wybuchem wojny znalazła się sama i przerażona w tanim pensjonacie gdzieś we Francji – nie wiedziała gdzie – a jedyną jej towarzyszką była dziewięcioletnia koleżanka z „St. Louis” Ruth Fischer. Ich matki pojechały razem do Paryża po prawdziwe wizy wjazdowe na Kubę, gdzie cały czas przebywali ich mężowie, ale nie mogły wrócić do córeczek przez cały tydzień. Praktycznie ustał wówczas jakikolwiek ruch podróżnych. Dziewczynki przebywały same w obcym kraju, którego języka nie znały.

Cztery miesiące później w Wigilię Bożego Narodzenia obie rodziny opuściły Le Havre na liniowcu „De Grasse” w konwoju prawie 100 jednostek zmierzających do Stanów Zjednoczonych. Większość spośród tych statków zatopiły U-boory w Kanale La Manche, ale „Da Grasse” uniknął niemieckim okrętom podwodnym.

W trakcie podróży liszaj, którego Marianne nabawiła się podczas pobytu w brudnym i zawoszonym pokoju we Francji, jeszcze się rozwinął. Lekarz pokładowy natychmiast ogolił dziewczynę głowę. Była

pokryta otwartymi ranami. Kiedy dotarli do Nowego Jorku Marianne i jej matka zostały umieszczone na Ellis Island ze względu na liszaj dziewczynki. Marianne opisała swoje wrażenia z pobytu na wyspie:

„Coś w rodzaju więzienia. Zostałam umieszczona w szpitalu i pa-miętam, jak pewnego ranka znalazłam w swoim kapciu zdechłą mysz. Miałam tylko dziesięć lat. Codziennie golili mi głowę i smarowali ją jodyną. Ból był nieznosny. Znałam tylko język niemiecki. Nikt ze mną nie rozmawiał. Ani lekarz, ani pielęgniarka, nikt. Moja matka nie mogła mnie odwiedzać. Kazali mi zakładać chłopiędzy mundur skauta z krótkimi spodenkami i zabierali mnie na dwór na gimnastykę w śniegu. Dziesięciolatka z otwartymi ranami na огоłonej i pomalowanej jodyną głowie w skautowskim mundurze – to było straszliwe upokorzenie”.

Marianne i jej matka opuścili Ellis Island, kiedy ich czasowe wizy utraciły ważność – musiały wyjechać ze Stanów Zjednoczonych.

„Wtedy, jedyny raz – wspominała potem Marianne – doktor odezwał się do mnie. Po niemiecku! Znał niemiecki, ale przez cały okres mojego pobytu w szpitalu, nigdy nie odezwał się do mnie choćby słowem. Uznałam, że był bardziej okrutny niż naziści”.

W Hawanie kubańscy urzędnicy ponownie oświadczyli im, że nie mogą wjechać do kraju, by połączyć się z ojcem, tym razem z powodu ran na głowie Marianne. Dziewczynka zadreśla się poczuciem winy; uwierzyła, że jest winna wszystkich rodzinnych kłopotów. Matka zapewniła ją, że obie popelną samobójstwo, jeśli nie zostaną wypuszczone na Kubę. Nazajutrz otrzymały zgodę na wjazd. Ojciec Marianne przekupił urzędników.

W 1942 roku, kiedy nadeszła ich kolej na liście kwoty imigracyjne, rodzina w końcu wróciła do Nowego Jorku. Ale nawet wówczas nie skończył się okres upokorzeń dla Marianne. Ponieważ jej angielski nie był zbyt dobry, trafiła do pierwszej klasy – dwunastoletnia dziewczynka chodziła na zajęcia z dziećmi o połowę młodszy od niej. Dla niej było to już ostateczne upokorzenie.

W Belgii Połączony Komitet Rozdzielczy początkowo opłacał utrzymanie pasażerów „St. Louis”. W tej grupie uchodźców znalazł się

członek komitetu pasażerów Ernst Vendig wraz z żoną i trojgiem dziećmi. Po opanowaniu Belgii przez Niemców został internowany, ale zbiegł, odnalazł rodzinę i przedostał się pieszo przez Alpy Szwajcarskie.

Carl i George Lennebergowie, którzy przed wyjazdem na pokładzie „St. Louis” byli więzieni w Dachau, zdołali wydostać się z kraju w kwietniu 1940 roku, tuż przed przybyciem Niemców. Ewakuowali się przez Dunkierkę, jak wielu innych Europejczyków.

Ojciec, matka, ciotka i wuj Hildie Reading, dziewczynny, która weszła na pokład „St. Louis” w Hawanie i dała rodzinom 1700 dolarów, także próbowali uciec przez Dunkierkę. Nie udało się im. Wuj Hildie, pojmany przez nazistów, został wysłany do obozu koncentracyjnego, gdzie zmarł.

Matka, ojciec i ciotka Hildie wrócili do Belgii i zeszli do podziemia. Mieszkali w porzuconym sklepie z witrzynami zabitymi deskami i z pleczeniem wychodzącym na cmentarz. Żyli w ukryciu przez pięć lat. Tylko jedna belgijska rodzina wiedziała, że tam przebywają, a za 1700 dolarów od Hildie mogli ją opłacić, by zachowała tę wiedzę w sekrecie i dostarczała im pożywienie. Bez pieniędzy mogliby nie przeżyć.

Alice Feilchenfeld i jej czworo dzieci przez całą wojnę mieszkali w Brukseli. Dolarzy przekazywane co miesiąc przez Połączony Komitet Rozdzielczy wystarczały na opłacenie przyzwoitego apartamentu, ale wolała wynajmować małe mieszkanie w domu czynszowym w najlepszej dzielnicy, ponieważ, jak potem wspominała, „tam Niemcy mniej nas niepokoiili, a biedni Belgowie niezydowskiego pochodzenia nie «kablowali» na nikogo. W odróżnieniu od niektórych zamożnych Belgów”. Przez pewien czas Alice Feilchenfeld i jej dzieci w ciągu dnia przebywali w swoim mieszkanku na najwyższym piętrze, a nocami ukrywali się w kostnicy przy szpitalu pełnym niemieckich żołnierzy.

Kiedy Belgię zajęły hitlerowskie wojska, Połączony Komitet Rozdzielczy opuścił kraj. Od tej pory rząd belgijski regularnie płacił Żydom renty, nigdy nie ujawniając Niemcom ich nazwisk czy adresów. W 1946 roku Alice Feilchenfeld zabrała dzieci do Ameryki, gdzie czekał ich ojciec, z którym nie widziały się od 1938 roku. Rodzina zamieszkała w Nowym Utrechcie w obrębie nowojorskiego Brooklynu.

Alice na zawsze zachowała w pamięci wspomnienia o tym, jak przez siedem lat zajmowała się czworgiem dzieci, samotnie, odważnie, przez większość czasu w ukryciu. Stanowiła doskonały przykład dla córki Judith, która po osiągnięciu dorosłości mieszkała w pobliżu matki wraz z dwięciorgiem własnych dzieci.

W Holandii Gertrud Scheuer również ukrywała się przez całą wojnę – przez pewien czas w pobliżu domu, w którym Anne Frank spisywała swój słynny dziennik. Pracowała jako pokojówka, przenosząc się od rodziny do rodziny, zawsze wyprzedzając Niemców o jeden krok. Przetrwiała okupację i zamieszkała na przedmieściach Baltimore.

Gertrud należała do mniejszości. Większość uchodźców, którzy znaleźli się w Holandii, miała zginąć w komorach gazowych po przejściu przez cieszący się złą sławą holenderski obóz przejściowy Westerbork. Obóz ten zaprojektowany i zbudowany na polecenie władz holenderskich przed wybuchem wojny z Niemcami miał służyć zakwaterowaniu niemieckich uchodźców. Uruchomiono go w październiku 1939 roku, a w pierwszej grupie mieszkańców obozu znalazła się część pasażerów „St. Louis” skierowana do Holandii.

Obóz Westerbork o powierzchni 100 hektarów był całkowicie odizolowany od świata, rozmieszczony na wietrznej równinie na obszarze niewiele bardziej suchym niż typowe torfowisko. Od początku państwa tam tragiczne warunki życia. Miejsce stało się siedliskiem przenoszących choroby much i wszelkiego rodzaju robactwa. Kiedy padał deszcz, przemieniało się w zwykłe bagno. Mimo wszystko, kiedy gestapo w 1942 roku przejęło Westerbork od Holendrów, pozostanie w obozie byłoby bezpieczniejszą opcją niż jego opuszczenie, choć uchodźcy tego nie mogli wiedzieć.

Zresztą tak czy inaczej nie pozwolono im długo pozostawać w obozie. Przez dwa lata w każdy wtorek, tydzień po tygodniu, ciężarówkami do przewożenia bydła wyładowywano w Westerbork ludźmi i wywożono ich do komór gazowych w nazistowskich obozach na terenie Niemiec i okupowanej Polski. Nazwa Westerbork stała się synonimem czyszczenia.

Alfred Moser, pracownik holenderskiej organizacji pomocowej, który przeprowadził swój kontyngent uchodźców z „St. Louis” do Antwerpii, sam został internowany w Westerbork. Stamtąd przetransportowano go do obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen, ale cudownym sposobem ocalał. Dzięki powołaniu się na podrobiony paragrawski paszport kupiony dla niego przez przyjaciela ze Szwajcarii, Moser wraz z grupą 300 żydowskich współwięźniów został wywieziony z Bergen-Belsen do Berlina, a następnie odesłany do Szwajcarii. Wiele jego towarzyszy niedoli cierpiało na tyfus i zmarło w drodze, zanim zdążył przyjść im z pomocą Szwajcarski Czerwony Krzyż.

Aaron Pozner także został internowany w Westerbork. Zanim wywieziono go w bydłowym wagonie do Auschwitz, przekazał swój dziennik przyjacielowi i dzięki temu jego zapiski się zachowały. Aaron Pozner, podobnie jak tysiące innych więźniów Westerbork, nie przeżył. Los jego rodziny jest nieznany.

Fritz Spanier, jego żona Babette i ich bliźniaczki również trafiły do Westerbork. Jeszcze na pokładzie „St. Louis” dziewczynki nie mogły się doczekać przyjazdu do Holandii. Doktor Spanier opowiadał im, że to piękny kraj tulipanów i zunkili. Po latach pobyt w Westerbork wciąż był dla bliźniaczek zbyt bolesny, by o nim opowiadać, wspominały jedynie o „wygłodniałych ogarach i szcurach”.

Dziewczynki przeżyły dzięki pozycji, którą Fritz Spanier wyrobił sobie u władz Westerbork. W pewnym momencie zdołał nawet ocalić żonę i dzieci przed wywózką w bydłowym wagonie do Auschwitz. Pilnujący transportu esesmani posłuchali go, otworzyli drzwi wagonu i wypuścili jego rodzinę.

Doktor Spanier pełnił funkcję głównego lekarza obozowego w Westerbork. Był odpowiedzialny za funkcjonowanie dużego szpitala z 1725 łózkami, 120 lekarzami i ponad tysiącem osób personelu pomocniczego. Miał tajemniczy wpływ na komendanta obozu i potrafił nawet niekiedy postawić się w jego obecności, czego nikt inny nie śmiał robić. Miał władzę nad współwięźniami i mógł przesądzić o ich życiu bądź śmierci, ponieważ ci, których przyjmował do szpitala lub których uznał za zbyt chorych do transportu, na ogół nie trafiali do pociągów wysyłanych do obozów koncentracyjnych.

W 1944 roku doktor Spanier wezwał swoich pięcioro lekarzy i oznajmił im, że otrzymali polecenie wysterylizowania wszystkich żydowskich kobiet w Westerbork, które miały mężów nie-Żydów. Gestapo stwierdziło, że po sterylizacji nie zostaną one poddane deportacji. Natomiast jeśli lekarze odmówią, będzie to oznaczało deportację albo śmierć.

Jedna z pięciorga osób, kobieta, odmówiła wykonania polecenia sterylizacji, a jej stanowisko sprawiło, że władze obozowe musiały ponownie rozważyć tę decyzję. O dziwo, polecenie wycofano. Uchodźcy, którzy wybrali sterylizację zamiast deportacji, zostali poddani temu zabiegowi przez żydowskich lub holenderskich lekarzy poza terenem Westerbork i przez pewien czas cieszyli się specjalnymi przywilejami. W końcu jednak oni także zostali wysłani do obozów koncentracyjnych.

Doktor Spanier po wojnie został oskarżony o nadużywanie swojej władzy w Westerbork, o pomaganie tylko tym, którzy mieli „odpowiednie koneksje”, o zbyt nie spoufalanie się z funkcjonariuszami SS. Jeśli tak było, to być może poniekał dla tego, że doktor Spanier pamiętał, iż jego rodzina zawdzięcza życie pewnemu młodemu oficerowi SS, który przewiózł ich do Hamburga i pomógł dostać się na pokład „St. Louis”. Niezależnie od tego szpital doktora Spaniera w Westerbork stanowił wzór wydajności, mimo iż utrzymywał ludzi przy życiu tylko na krótko przed ich wysłaniem do komór gazowych.

Fritz Spanier z rodziną pozostawali w Westerbork przez całą wojnę. Po wyzwoleniu Holandii doktor Spanier niezwłocznie wrócił do Niemiec, do obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen. Tam pracował z ocalałymi więźniami, zwłaszcza ludźmi młodymi i zyskał również wielką renomę jak w Westerbork. Później podjął decyzję o pozostaniu w Niemczech i otworzył gabinet w Düsseldorfie. Zmarł w 1967 roku.

Obie bliźniaczki Spanier wyszły za mąż i zamieszkały wraz z rodzinami w Stanach Zjednoczonych. Dla Renee i Ines wspomnienia tego, co przeżyły w holenderskim obozie przejściowym, w chwili pisania niniejszej książki, były zbyt trudne do opowiedzenia.

Wdowa po doktorze Spanierze zamieszkała samotnie w skromnym apartamencie w Kolonii w Niemczech Zachodnich, znużona życiowymi doświadczeniami. Jej oczy wciąż jednak przypominają jasne spojrzenie uwiecznione na niezliczonych fotografiach prasowych z czasów

rejsu „St. Louis”. Babette Spanier przez kilka godzin niemal bez przerwy opowiadała nam o wydarzeniach związanych z tą podróżą, wykazywała się przy tym niebywałą pamięcią do szczegółów. Wspominała wrażenia z 1939 roku, z tego ponurego czasu, kiedy żaden Żyd nie śmiał wejść do Dom Hotel, w którym z nami rozmawiała. W pewnym momencie spytała nawet, czy wiemy, że z balkonu apartamentu 108, sąsiadującego z tym, w którym właśnie siedzieliśmy, Hitler głosił kiedys wyjątkowo zjadliwą antysemicką propagandę?

Historia ta wydała się nam nieprawdopodobna, ale zweryfikowaliśmy ją w portierni Dom Hotel. Portier doskonale pamiętał Hitlera stojącego na balkonie i przemawiającego do 50 tysięcy ludzi zgromadzonych poniżej na przykatedrałnym *Grossplatz*.

Babette Spanier zachęcała nas do skontaktowania się z drugą żoną doktora Spaniera, Njutą. Odnaleźliśmy ją nieopodal Hofgarten w Düsseldorfie, drobną, schludną kobietę, którą łączyło z Babette tylko to, że kochały tego samego mężczyznę.

Wspomnienia Njuty Spanier ożywiały wyblakłe doniesienia prasowe dotyczące sagi „St. Louis”. W jej posiadaniu znalazła się także cała kolekcja listów, dokumentów i zdjęć, a wszystkie te materiały są wzbogacone wiedzą kobiety, która choć nie płynęła na „St. Louis”, to przez lata była powierniczką doktora Spaniera i zapamiętała wszystko, co opowiadał jej o tych wydarzeniach.

W kącie apartamentu nagle zaskrzeczała papuga, przerywając rozmowę. Njuta Spanier wyjaśniła, że to jej zmarły mąż nauczył ptaka mówić, „tak aby jego głos przetrwał i przypominał mi się, kiedy on już odejdzie”.

Na Kubie niełatwo było człowiekowi w średnim wieku bez środków do życia nauczyć się nowego języka, studiować do amerykańskich egzaminów lekarskich, a jednocześnie karmić, kąpać, ubierać i bawić dwie małe dziewczynki – wszystko to za parę dolarów na tydzień. Doktor Max Aber opiekował się swoimi córkami, Renatą i Evelynę, najlepiej jak potrafił, a już w 1941 roku znalazł się w Ameryce jako praktykujący lekarz.

W 1973 roku w wieku 78 lat, choć wyglądał na znacznie młodszego, nadal przyjmował pacjentów w swoim gabinecie na Cape Cod. Przypominał sobie wówczas doniesienie pewnej kubańskiej gazety z 1939 roku, w którym opisywano go jako milionera i uznał je jako „nie tak całkiem niedorzeczną prognozę”.

Nikt nie potrafi stwierdzić z całkowitą pewnością, ilu pasażerów „St. Louis” zginęło w czasie wojny. Jeden z szacunków mówi, że spośród 907 ludzi, którzy wrócili do Europy, przeżyło zaledwie 240 osób. Ci, którzy zginęli, padli ofiarą „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” – wskutek tej hitlerowskiej polityki ludobójstwa usmiercono w sumie 6 milionów Żydów.

Gdyby pasażerowie „St. Louis” przetrwali wojnę i obozy koncentracyjne w takich samych proporcjach, jak ich rodacy w poszczególnych krajach, to we Francji ocalałoby 180 spośród 224 pasażerów, którzy się tam udali; w Belgii 152 spośród 214; w Holandii tylko 60 spośród 181. Przeżyłaby też zdecydowana większość spośród 288 uchodźców, którzy znaleźli się w Wielkiej Brytanii. Pewne jest natomiast to, że gdyby Kuba lub Stany Zjednoczone otworzyły przed wszystkimi tymi uchodźcami swoje drzwi, nikt spośród pasażerów statku nie musiałby umrzeć.

Nieproporcjonalnie duża liczba osób opisanych w tej książce przeżyła wojnę i to głównie na podstawie rozmów z nimi i ich rodzinami oraz ich pisemnych relacji mogliśmy pozierać elementy informacji, które staraliśmy się połączyć w całość w *Rejsie wykłętych*.

Dziś ci ludzie, którzy ocalili, rozproszeni po świecie, niewiele wiążą o sobie nawzajem, mają jednak pewną wspólną cechę: miłość do życia i entuzjazm do jak najpełniejszego przeżywania każdego dnia. Byli bliscy śmierci i wyrwali się jej za sprawą cudownych przypadków, potrafili więc zrozumieć, jak cenne i kruche jest życie. Łączy ich także nadzwyczajny szacunek i sympatia do ludzi, wśród których żyją oraz państw, które dały im szansę na życie.

Większość członków załogi „St. Louis” w czasie wojny służyła w niemieckich siłach zbrojnych, wśród nich także Leo Jockl. W 1941 ro-

ku kapitański steward, nieco już otyły i wyraźnie lysiący, wstąpił do niemieckiej marynarki wojennej. Był wówczas zakochany w pięknej aryjskiej dziewczynie, Gerdzie Kickbush, której ojciec był wysokim urzędnikiem nazistowskim w Berlinie. Leo wyjawiał dziewczynie sekret swojego pochodzenia, a ona stwierdziła, że to w żaden sposób nie wpływa na ich miłość. Jednak jej rodzina nie okazała się równie tolerancyjna. Matka Gerdy zadenuncjowała Jockla w kwatery głównej NSDAP w Berlinie. Niedługo potem okazało się, że Gerda jest w ciąży. Nie mogła wziąć ślubu z Leo ze względu na niesławne ustawy norimberskie zakazujące związków pomiędzy Żydami i nie-Żydami, ale wyklepała także przez własną rodzinę, wytrwała u boku męża. Kilka lat ukrywali się razem przed gestapo.

W styczniu 1944 roku Leo został zwerbowany do oddziału specjalnego „pół-Żydów”. Ich zadaniem było oczyszczanie terenu z min przed niemieckimi wojskami, usiłującymi za wszelką cenę powstrzymać inwazję aliantów na ojczyznę. 17 listopada 1944 roku o godzinie 14.03 w pobliżu Aachen amerykański myśliwiec ostrzelał ów oddział i zabił Leo Jockla.

Wdowa po nim – Gerda i Leo należeli do pierwszych par „poślubionych pośmiertnie” w powojennej Republice Federalnej Niemiec – zamieszkała w Berlinie Zachodnim wraz z ich synem Frankiem, wspólnymi wspomnieniami i pamiątkami. Wśród nich był list, który napisał do Leo jeden z pasażerów „St. Louis”: „Sądzę, że nie starczyłoby mi życia, bym zdołał podziękować panu za to, co pan dla nas uczynił”. Gerda Jockl uznała te słowa za najpiękniejsze epitafium dla jej zmarłego męża.

Otonowi Schiendickowi wiele zupełnie innego rodzaju epitafiów układali ocalali członkowie załogi, którzy go dobrze pamiętali i nie darzyli sympatią. Ludzie ci, jak były steward Paul Zochert, kucharz Christian Muhlbacher, stewardzi Hermann Kempe i Pieter Schmitt, fotograf okrętowy Paul Bendowski i jego żona Irene, która pracowała jako fryzjerka na „St. Louis”, opisywali Schiendicka jako człowieka „wstrętnego i znęcającego się nad innymi”.

Okolo 1940 roku Schiendick pracował w Centrum Informacyjnym niemieckich tajnych służb w rozległym podziemnym betonowym

bunkrze pod powierzchnią porośniętego zielenią hamburskiego przedmieścia Wohldorf. Na początku 1945 roku brytyjskie wojska otoczyły miasto, podczas gdy Niemcy dokonywali dewastacji jego centrum. W oddziałach sabotażowych znalazł się Otto Schiendick, którego zastrzelili jeden z brytyjskich patroli.

Ochmistrz Mueller i pierwszy oficer Ostermeyer przeżyli wojnę, by u jej schyłku wpaść w ręce Sowietów. Ich współtowarzysze z załogi „St. Louis” słyszeli potem, że obaj mieszkali w Niemczech Wschodnich. Materiały od nich otrzymaliśmy ze źródeł, które pragnęły zachować anonimowość.

Kapitan Gustav Schröder przeżył.

Po przepłynięciu „St. Louis” z Antwerpii do Nowego Jorku w czerwcu 1939 roku, podjął planowe rejsy wakacyjne na Karaiby. Niemiecka ambasada zabroniła mu publicznie i prywatnie opowiadać o podróży uchodźców. Pasażerowie rejsów wycieczkowych opisywali go jako człowieka czarującego i wspaniałomyślnego, choć załoga była „rozdrażniona” po wyprawie na Kubie.

26 sierpnia 1939 roku „St. Louis” miał w planie wyruszyć z Nowego Jorku na Bermudy, ale pasażerowie dowiedzieli się, że rejs został odwołany. Nazajutrz o godzinie 8.00 pusty transatlantyk wypłynął ze swojego stanowiska przy 46 ulicy. Był na morzu, kiedy 1 września Niemcy rozpoczęły II wojnę światową.

Kapitan Schröder ominął brytyjską blokadę i bezpiecznie dotarł do Murmańska w Związku Radzieckim, sprzymierzonym z III Rzeszą. Tam wszyscy za wyjątkiem inżynierów „St. Louis” udali się pociągiem do Leningradu, a stamtąd dalej do Niemiec. „St. Louis” po czteromiesięcznym postoju w Murmańsku, wciąż pozostający pod komendą kapitana Schrödera, wyruszył do Hamburga. Przybył na miejsce w Nowy Rok, 1 stycznia 1940 roku, jako ostatni z transatlantycznych liniowców linii HAPAG, który powrócił do kraju. Schröder podjął pracę biurową i nigdy już nie wrócił na morze.

„St. Louis” uległ poważnym uszkodzeniom podczas nalotów Royal Air Force w 1944 roku i u schyłku wojny w hamburskim porcie tkwił już tylko jego wypalony kadłub. Przez pewien czas po części-

wym remoncie statek służył jako hotel na wodzie. W 1950 roku transatlantyk sprzedano na złom i rozebrano.

„Rhakotis”, frachtowiec, który przewiózł część pasażerów transatlantyku do Francji i Anglii, zatonął w 1943 roku ostrzelany przez brytyjski krążownik.

Po wojnie Schröder starał się utrzymywać z pisania, niekiedy wykorzystując w swoich książkach fragmenty prywatnego dziennika z okresu podróży „St. Louis”. Publikacje nie przyniosły mu jednak sukcesu finansowego i żył w biedzie. Niektórzy z jego dawnych pasażerów pomagali mu, przesyłając żywność i odzież. Przyszli kapitanowie z pomocą również wtedy, gdy stanął przed sądem w ramach procesu denazyfikacji Niemiec. Zeznania pasażerów pozwoliły uwolnić go od zarzutów. W 1957 roku, dwa lata przed śmiercią, Gustav Schröder otrzymał pochwałę i medal od rządu Republiki Federalnej Niemiec za niebagatelną rolę, jaką odegrał w ratowaniu życia pasażerów podczas pamiętnego rejsu na Kubę.

■ APENDYKSY

SPECJALNE PODZIĘKOWANIA

Z poniższymi osobami spotkalismy się osobiście, rozmawialiśmy telefonicznie albo prowadziliśmy korespondencję.

Załoga:

Bendowski, Irene
Bendowski, Paul
Kempe, Hermann
Muhlbacher, Christian

Schimon, Josef
Schmitt, Peter
Zochert, Paul

Pasażerowie:

Alan, Rolf
Altschul, Hans
Aron, Alfred
Aron, Sofi
Brauer, Kaethe
Buff, Fred
Falk, Eugene
Frieberg, Regina
Freund, Charlotte
Fridberg, Ruth
Friedman, Lillian
Geismar, Sonja
Goldberg, William
Goldman, Renee
(z domu Spanier)
Greilsamer, Erich
Herz, Teresa
Hurtig, Herta

Jacobson, Greta
Jacoby, Ines (z domu Spanier)
Jakoby-Byk, Regina
Jungerman, Harry
Kadden, Leah
Kahn, Arthur
Karliner, Herbert
Karliner, Walter
Kassel, Fritz
Langnas, Leon
Lavatch, Herma
Leyser, Fred
Lichtenstein, Norbert
Mahler, Vera
Marcus, Ilse
Oster, Alice
Oyres, Herbert
Phillipi, Margarete

Od momentu dojścia Hitlera do władzy do czasu rozpoczęcia wojny w 1939 roku, z terytorium Niemiec uciekały dziesiątki tysięcy Żydów. Szukali schronienia w wielu krajach europejskich i jeszcze dalej – Polonie, Wenezueli, Meksyku, Kenii, Rodezji Północnej. Jednakże większość uchodźców pragnęła dostać się do legendarnej krainy nieograniczonych możliwości Stanów Zjednoczonych.

Z taką nadzieją 13 maja 1939 roku wkroczyła na pokład grupa 937 osób żydowskiego pochodzenia, która, po później okazało, nigdy nie dotarła do celu. Pomimo nowych ustaleń warunków czylu oraz dramatycznej roli załogi i dyplomatów o los uciekinierów, odwołania schronienia. Po wielu dniach oczekiwania w brzozy amerykańskich portów, statek pasażerski „St. Louis” musiał zawrócić do Europy, dostając się w sam środek demagogicznej propagandy III Rzeszy.

Wojnę przeżyła zaledwie niewielka część pasażerów, których, po latach, udało się odnaleźć autorom książki. W wyniku rozmów i historycznych badań powstała przesyłająca książka, odtwarzająca dzień po dniu przerażającego rejsu i przybliżająca sylwetki uciekinierów, którzy podzieliili los wyklętych.



Cena 34,90 zł

WYKŁADY

WYKŁADY

REJS

WYKŁADY

W maju 1939 z portu w Hamburgu wypływa transatlantyk „St. Louis” z 937 niemieckimi Żydami na pokładzie. Wyruszając za zgodą hitlerowskich władz w drogę do krainy wolności, uchodźcy nie zdają sobie jeszcze sprawy, że stają się tragicznymi ofiarami dzieła propagandy III Rzeszy.

Replika